Rok XII. Lwów 26 grudnia 1890 **Nr. 24.**

„Bonus Pastor"
wychodzi we Lwowie 12 i 26 każdego miesiąca, w objętości jednego arkusza druku.

Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 10 ct. od miejsca objętości jednego wiersza drobnym drukiem za każdorazowe umieszczenie.

Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.

Redakcya, Administracya i **Ekspedycya**: plac Bernardyński l. 7 we Lwowie.

Reklamacye niedoszłych numerów uwzględnione być mogą w przeciągu 2 tygodni od wyjścia numeru.

Rękopisów nie zwraca Redakcya.



Prenumerata wynosi:

w **Austryi**: rocznie 3 złr.; półrocznie 1 złr. 60 ct. kwartalnie 80 cnt.; w **Cesarstwie niemieckiem** rocznie 6 marek; do **Francyi, Włoch, Rumunii i Turcyi** rocznie 8 frank., a do **Ameryki** 2 dolary.

Razem z „Wiadomościami katolickiemi" w **Austryi** *rocznie* 5 złr. 50 ct., *półrocznie* 3 złr. i *kwartalnie* 1 zł. 60 ct. w. a.; do **Francyi, Włoch** i t. d. 14 franków, a do **Ameryki** 3 dolary.

Prenumeratę płaci się **z góry** i nadsyłać ją należy przekazem pocztowym **wprost** pod adresem Administracyi.

BONUS PASTOR

ORGAN TOWARZYSTWA „BONUS PASTOR"

„TYGODNIK KATOLICKI".

Z końcem bieżącego roku przestają wychodzić: *Wiadomości katolickie* i *Bonus Pastor*. W ich miejsce będzie w Imię Boże wydawał podpisany Komitet redakcyjny, od 1 stycznia 1891 roku zacząwszy, pismo tygodniowe pod tytułem:

TYGODNIK KATOLICKI,

poświęcony sprawom kościelnym i społecznym.

W przekonaniu, że wspólnymi siłami łatwiej wprowadzić do pisma kościelnego pożądaną rozmaitość treści i formy, postawić je na wysokości jego zadania, zyskać dlań większą poczytność i wyrobić mu prawdziwą wartość, związali się podpisani w komitet redakcyjny, rozdzieliwszy między siebie główniejsze punkta programu, jakie pismo nowe ma zamiar wypełniać.

Program pisma uwydatnia cel jego. Chcąc służyć sprawom kościelnym i społecznym, zamierza komitet redakcyjny w ramach **„Tygodnika katolickiego"** pomieszczać wszelkie artykuły i kwestye, odpowiadające potrzebom P. T. Kleru, a mogące mu przynieść rzetelny pożytek. Zachowując przeto w ogólności kierunek pism, w których miejsce wstępuje **„Tygodnik"**, pragnie komitet redakcyjny w szczególności pogłębić go znacznie, rozszerzyć sferę żywotnych interesów P. T. Duchowieństwa i podnieść poziom jego życzeń w tym zakresie, by pismo nowe stało się nietylko praktycznem, zajmującem, i dla każdego kapłana niezbędnem, ale także by w całem słowa znaczeniu było wyrazem i **„organem Kleru."**

W szczerej myśli podejmując ten zamiar, otrzymał podpisany komitet błogosławieństwo, zachętę i poparcie moralne od wszystkich najprzewielebniejszych Ordynaryatów galicyjskich. Nie mniej, licząc się z faktem, że znaczenie i wziętość każdemu pismu nadaje dobór artykułów i imię ich autorów, zwrócił się komitet do wielu wybitnych kapłanów, znanych z dzielnego pióra a dobrej woli, z uprzejmą prośbą o łaskawe współpracownictwo w **„Tygodniku."** Dla pozyskania tego udziału i łatwiejszego ogłaszania naukowych rozpraw wprowadzono właśnie zmianę pisma na tygodniowe. Jakoż w istocie udało się już komitetowi pozyskać znaczny poczet wybornych współpracowników.

Poczyniwszy starania o wzbogacenie treści nowego pisma, nie omieszkał komitet zwrócić zarazem uwagi także na zewnętrzną stronę pisma. Tym celem wprowadza zmianę formatu pisma, papieru i druku. Ze swej strony tedy uczyniwszy wszystko, zwraca się komitet redakcyjny niniejszem do czcig. Współbraci z prośbą o poparcie materyalne podjętych usiłowań przez rychłą a liczną prenumeratę, a zarówno o moralne, życzliwe porozumiewanie się z Redakcyą we wszystkich sprawach, jakieby w piśmie znaleść winny swój wyraz.

Tygodnik katolicki wychodzić będzie na razie w objętości jednego arkusza, co piątek każdego tygodnia, a więc w 52 numerach rocznie. Mimo nadzwyczajnych wydatków przy zmianie pisma, z powodu kaucyi (3000 złr.), opłaty stempla dziennikarskiego (rocznie 520 złr. od 1000 exemplarzy), papieru i t. p. pozostaje cena prenumeraty ta sama, jak była dotąd, to jest:

rocznie 5 złr. 50 ct. — półrocznie 3 złr. — kwartalnie 1 złr. 60 ct.

Prenumeratę tę, na pokrycie bieżących wydatków, prosimy zawsze uiszczać **z góry**, najlepiej za przekazem pocztowym i wprost pod adresem:

Administracya Tygodnika katolickiego we *Lwowie*, plac Bernardyński l. 7.

Komitet redakcyjny:

Ks. Edward Borawski. *Ks. dr. Alojzy Jougan.* *Ks. Julian Kamiński.*

Snowidz: ks. Hieronim Höniger.

We *Vaterlandzie* umieścił dr. Gwidon Alexis wspomnienie zajmujące o ks. Hönigerze, który dla słabości zdrowia zniewolony opuścić parafią, i z wikarego poszedł do kancelaryi arcybiskupiej, a w końcu doszedł do godności sekretarza konsystorskiego, wyżej nie. Słynął on z nadzwyczajnej chudości, cienki był jak wrzeciono, żartowano więc z niego, czy idąc podczas wiatru przez most na rzece Wełtawie miał przy sobie klucz od domu, albo scyzoryk, aby go wicher nie wrzucił przez kamienną poręcz do wody. Ale sławniejszym jeszcze robił go dar jasnowidzenia, o którym *mirabilia* opowiadają. A był to człowiek szczery i prawdomowny, żaden lekkomyślnik lub pędziwiatr i można było ufać jego słowom, chociaż nieraz dziwne opowiadał rzeczy, w obec których jedynie powtórzyć można Szekspirowskie słowo, że jest wiele rzeczy na niebie i na ziemi, o których się nie śniło filozofom naszym.

Otóż nasz snowidz opowiadał, że w jego rodzinnem miejscu, Planie, w Czechach, był staw, zwany cegielnianym od cegielni, położonej w pobliżu. Z tego stawu prowadzono rurami wodę do miasta. Był to gorący dzień letni, a nasz Hieronimek z kilku innymi chłopcami poszedł, aby się w tym stawie kąpielą ochłodzić. Nie umiejąc pływać, zrobili, jak chłopcy zwykli czynić, że się pokładli na wiązki mchu, aby się nad wodą utrzymać. Naprzeciw nich staw był zarosły gęstem sitowiem, a przeciwległy brzeg był o wiele wyższy, tak że niepodobieństwem było, aby z tamtej strony ktoś się do stawu spuszczał, nie będąc widziany. Podczas kiedy chłopcy kąpali się, wypłynęła z pośród sitowia *kaczka*, przeto na chlapiących się we wodzie wyrostków, a dopłynąwszy mniej więcej do połowy stawu, dała nurka i więcej się nie pokazała, na co igrający chłopcy wcale nie zwrócili uwagi. Po niejakim czasie wychyliła się z pośród sitowia śnieżno-biała *gęś*, popłynęła tak jak kaczka na sam środek stawu, dała nura i więcej jej nie było widać. Teraz już kąpiący się chłopcy byli cokolwiek zadziwieni, gdy nagle z sitowia, z tego miejsca, skąd wypłynęła kaczka, a potem gęś, pokazała się obnażona ręka ludzka, która trzykrotnie z groźbą ku przeciwnemu brzegowi się poruszała. W pierwszej chwili chłopcy zdumieni popatrzyli na siebie: żadnego z nich nie brakowało, zresztą żaden z nich nie umiał pływać, a tem mniej nurka dawać i nie widzieli przecież nikogo do stawu schodzącego. Strach ich ogarnął, wyskoczyli z wody coprędzej, pochwytali suknie w zamieszaniu jeden drugiego i uciekali z kwadrans, aż stanęli i dopiero jak się należy, ubrali. W domu dowiedzieli się, że staw był osławiony i że tam się już nie jedno nieszczęście zdarzyło.

Ks. Höniger był sekretarzem konsystorskim. Na tym urzędzie karyera jego była zamknięta: wyżej nie mógł postąpić, nie mógł biedny ksiądz marzyć o tem, aby został kiedy radzcą konsystorskim. Tak jak sam był chudy, tak też chuda była jego płaca. Ale w ojczystem mieście miał jeszcze uboższych krewnych, a mianowicie zamężną za stolarzem, zdaje się, siostrę, której od czasu do czasu jakiś zasiłek posyłał. Jego najgorętszem życzeniem było, aby siostra i szwagier mogli sobie nabyć kawałeczek pola i tym sposobem podreperować swoję biedę. Żeby to mogli w loteryą wygrać. Zdaje się, że wzmianka o loteryi w listach między księdzem a jego siostrą nieraz musiała się trafiać. Jednego razu stolarzowej, jak później sama opowiadała, śnił się brat ksiądz, który jej wymienił trzy numera. Obudziła męża, powiedziała mu te trzy numera, dodając: musimy sobie te liczby dobrzè zapamiętać! Rano budząc się, pamiętali doskonale sen, ale liczby uszły zupełnie z pamięci. Następne nocy ten sam sen i to samo rano zapomnienie. Trzeciej nocy trzeci raz się ten sam sen powtarza. Wtedy stolarzowa zaczęła płakać i skarżyć się: ale księże bracie, cóż mi pomoże, że mi liczby podajesz, kiedy ja je zapominam. Poczekaj, powiedział jej brat, rano po wstaniu przyjdzie do ciebie twój syn i on ci liczby powie. Istotnie rano przybiega chłopiec i woła: mamo, wiele jest to i to? i mówi jej dwie liczby, które ona zaraz zapisuje. Ale jeszcze jedna liczba, czy jej nie pamiętasz synku? Chłopiec namyślał się przez chwilę, potem wymienił trzecią liczbę. Stolarzowie postawili na terno secco, i pierwsze dwie cyfry wygrały, trzecia chybiła tylko o oko.

Jako sekretarza konsystorskiego było powinnością ks. Hönigera co dzień stawać przed obliczem księcia arcybiskupa praskiego, donosić mu o tem, co do kancelaryi nadeszło, przedkładać mu kawałki przepisane na czysto, nie było więc dla niego obojętnem, czy pasterz dyecezyi w dobrym, czy złym był humorze. Każde opróżnienie stolicy przejmowało naszego poczciwca nie małym niepokojem: dzień i noc przemyśliwał nad tem, kto będzie następcą i jak jemu pod tym następcą będzie. O tem wszystkiem pouczały go jego sny i zapewniał słowami najgłębszego przekonania, jaka będzie jego dola pod arcybiskupem, który dopiero miał być naznaczony. Tak było naprzykład po zgonie księcia arcybiskupa Aloizego Józefa hrabiego Kolowrata Krakowskiego, zmarłego w r. 1833. Nasz snowidz widział się przeniesionym do jakiegoś kościoła na ostrowie Wełtawy, zwanym Kępą. Kościół był w stylu gotyckim tak, jak katedra świętego Wita na hradczańskiej gorze, ale wszystko w nim było przekręcone i wykoszlawione. Następnie sen przeniósł go do pałacu książęcego arcybiskupiego, a i tam nie było nic w porządku i na swojem miejscu. Spotyka marszałka dworu, który go prowadzi do piwnicy: tam długiemi rzędami leżały flaszki z winem. „Ach księże Dobrodzieju, proszę popatrzeć, to wszystko odliczone, ciężko pomyśleć, co się teraz dzieje!“ W izdebce parterowej, podobniejszej do jakiejś komórki, niż do mieszkania, widzi we śnie biskupa sufragana Tippmanna, który siedzi z rękami założonemi: „Na Boga, co Wasza Biskupia Mość *tutaj* robi?“ — „Mój kochany Hönigerze, odpowiedział mu we śnie biskup, ja teraz już nic nie znaczę.“ Dnia 16 lutego 1834 został na arcybiskupa praskiego intronizowany Andrzej Aloizy hrabia Skarbek **Ankwicz** z Posławic, który do Pragi przybył z arcybiskupstwa lwowskiego, na którem zasiadał od roku 1814 do 1833 (umarł w Czeskiej Pradze w 1838, ma pomnik w katedralnym kościele świętego Wita na Hradczanach). Teraz dla biednego sekretarza konsystorskiego nastały ciężkie i smutne czasy. Ankwicz był oszczędny i skąpy nad wyraz, twardy i z góry traktujący, przytem skłonny do gwałtownych wybuchów niecierpliwości i gniewu. Raz, nie wiadomo dla jakiego nieporozumienia, książe arcybiskup zamierzył się ręką na biednego chudego księdza sekretarza, który od uderzenia arcybiskupiej ręki uchronił się tylko tem, że uskoczył na drugą stronę stołu. Biskup sufragan Tippmann za czasów Ankwicza rzeczywiście nic nie znaczył, i każdy z kanoników i radzców konsystorskich, każdy z proboszczów miejskich i wikaryuszów okręgowych miał się za szczęśliwego, gdy nie potrzebował mieć styczności żadnej ze swoim duchownym zwierzchnikiem. Być może, że do tego smutnego stosunku i to się przyczyniło, że Ankwicz obcym był w Pradze, bo to było za czasów, kiedy rząd austryacki do Galicyi Niemców i Czechów na biskupów posyłał, a do Pragi Polaka, który pewnie po czesku nie umiał, albo mało, choć w Ołomuńcu był kanonikiem i dyrektorem seminaryum arcybiskupiego. Dziwna rzecz, jak się Ołomuńca Polacy czepiali: było tam

kilku biskupów Polaków, a dziś mamy tam w kapitule *dwóch* naszych ziomków.

Po śmierci Ankwicza znowu zapytywano księdza Hönigera, czy mu się nie śniło coś, odnoszącego do nowego arcybiskupa. — „A jakże“ odpowiedział i jął opowiadać, co następuje: „Około Małej strony (jedna z dzielnic Czeskiej Pragi), na Białej Górze i na całych Hradczanach gęsty las. W środku lasu śliczna kapliczka, jednakże samotna i opuszczona, bo wszystkie przystępy do niej zatarasowane. Las trzebią, kaplica stoi wolna, spokojni ludzie znów do niej pielgrzymują i mienią się szczęśliwymi, że droga do niej znów otwarta.“

Następcą Ankwicza był ugrzeczniony i uprzejmy Aloizy Józef baron Schrenk na Notringu i Egmatingu, od 4 listopada 1838 r. pod którego łagodnem i porządnem władaniem odetchnął cały Kler archidyecezalny, a w szczególności nasz biedny ksiądz sekretarz.

Jeszcze jedno zdarzenie z życia tego dziwnego człowieka. Opowiadający spisał je zaraz po słyszeniu, za świeżej pamięci. Pewnego poranku zimowego obudziło mnie (opowiadał ks. Höniger) ze snu gwałtowne uderzenie we drzwi. Zrywam się z łóżka, odziewam pospiesznie, otwieram drzwi i widzę kobietę, która również dopiero co musiała wstać ze spoczynku. Włosy w nieładzie, niepokój, a nawet przerażenie malowały się na jej obliczu.

— Czy ksiądz jesteś Ojcem Hieronimem? — Tak jest. — Połowę Hradczan obeszłam, szukając go i wypytując się o niego; nikt mi nie umiał powiedzieć, kto jest Ojciec Hieronim i gdzie mieszka; nakoniec mi tu wskazano. Bogu dzięki, żem nareszcie księdza Dobrodzieja znalazła.

— Czem Pani mogę służyć? — Ach ja miałam dzisiaj sen, który mi nie daje spokoju. Zmarły ks. Czerny ukazał mi się i gorzko się uskarżał, że ksiądz Dobrodziej całkiem o nim zapomniał, że mszy żadnej za jego duszę nie odprawił. Gdyby go błogosławiona Matka Elekta nie była wprowadziła do nieba, nie byłby był znalazł pobożnej modlitwy za swoją duszę. Wyraźnie dał mi polecenie, abym to księdzu Dobrodziejowi oznajmiła.

Byłem bardzo zdziwiony tem wszystkiem, ale i zły. Siostra Elekta była przed dwustu laty karmelitanką.*) Zasnęła ona na wieki, siedząc w krześle, i w tej pozycyi znajduje się po dziś dzień w klasztorze PP. Karmelitanek w Czeskiej Pradze na placu Hradczańskim. Tylko twarz i ręce poczerniały od czasu, kiedy zakonnice próbowały raz winem obmyć ciało. Jej przyczynie przypisują wiele cudów. Siostry starałyby się o jej ogłoszenie świętą, ale nie mają pieniędzy, aby rozpoczynać kosztowny proces kanonizacyjny. Ale ja teraz gniewałem się na błogosławioną matkę Elektę, a jeszcze bardziej na nieboszczyka księdza Czernego, że mnie, kapłana, tak skompromitowali przed taką ordynaryjną kobietą. Czyż nie mogli sami ukazać mi się i zarzucić, w czem chybiłem?

Gdy nadeszła godzina, w której zwykłem był odprawiać mszę świętą w klasztorze PP. Karmelitanek, ofiarowałem ją od początku do końca w tej myśli doznanego ubliżenia, skarżyłem się Bogu na oboje i prosiłem Go, aby im nakazał dać mi zadość uczynienie.

Następnej nocy (nie byłem już całkiem czuwający, ale też jeszcze nie zasnąłem był mocno) widzę się we śnie przeniesionym do kościoła PP. Karmelitanek, w połowie oświetlonego. Klęczę przed balustradą do Komunii świętej, a w tej chwili od wielkiego ołtarza kroczy ku mnie ks. Czerny, którego za lewą rękę prowadzi nieznajoma mi zakonnica, i gdy już są tak blisko, że mnie od nich tylko balaski dzielą, nachylają się oboje ku mnie...

*) Żywot M. Maryi Elekty od P. J. † 1662, znaleść można w „*Ozdobie Karmelu zakonnego*“, Kraków 1747, t. III, 604.

W kilka dni później idę z kościoła zamkowego ku mojemu mieszkaniu. Leżał głęboki śnieg i zimny wiatr dął przeraźliwie. Kiedym mijał klasztor panieński, czuję najśliczniejszą woń najpiękniejszych kwiatów: róż, gwoździków i hiacyntów. Idę ku toskańskiemu pałacowi, wiedząc że tam mieszka pewien miłośnik kwiatów. Ale tam zapach znika. Obracam się i idę znów ku klasztorowi, i znów te same słodkie wonie. Zdążam ku domowi, zatopiony w myślach nad tem, co mi się dopiero co wydawało niewytłómaczonem. W bramie spotykam pewną panią znajomą, którą pozdrowiłem, a ona mi powiada, że właśnie wybiera się do kościoła Karmelitanek.

— Ksiądz Dobrodziej wie, że dzisiaj jest rocznica śmierci Matki Elekty?

Teraz dopiero zrozumiałem znaczenie tego, co mi się zdarzyło. Alem był jak Gedeon, który nalazłszy runo wełny mokrem, rzekł: to może od rosy! (Księgi Sędziów, rozdział VI.*).

Wieczorem, gdy wracałem do domu z wikarówki, do której chodziłem na piwo, przechodziłem koło klasztoru panieńskiego, stanąłem, złożyłem ręce i tak się modliłem: „Błogosławiona Matko Elekto! Jeżeli słodka woń poranna była rzeczywiście twoją sprawą, jeżeli mi przez to może chciałaś dać zadośćuczynienie, o dowiedź tego, jeszcze raz dając mi się poznać.“ I w tej chwili jeszcze raz rozeszła się w około cudowna woń poranna.

Teraz się już nie mogłem powstrzymać, upadłem, tak jak stałem, na kolana w śniegu i dziękowałem gorąco błogosławionej, że mi tak wielką łaskę wyświadczyć raczyła.

Ś. p. ks. Seweryn Paszkowski.

(Wspomnienie pośmiertne).

W dniu 10 grud. b. r. po tygodniowej chorobie na zapalenie płuc, zmarł ks. Seweryn Paszkowski, kapelan szpitala w Krzeszowicach. Nieboszczyk urodził się d. 25 sierpnia 1821 r. we wsi Paszki na Podlasiu, z rodziców Piotra i Antoniny z Rolów, małżonków Paszkowskich, posiadaczy części tej wsi. Wyświęcony na kapłana w Lublinie w r. 1844, w kilka lat jako wikaryusz, na żądanie swego stryja, księdza Ludwika Paszkowskiego, przeniósł się do dyecezyi podlaskiej, gdzie był wikaryuszem znowu lat kilka, a następnie otrzymał w r. 1852 probostwo w Maciejowicach, znanych z porażki Kościuszki. W roku 1864 musiał uchodzić za granicę i przebył parę lat w Rzymie, gdzie się uczył i otrzymał stopień licencyatu w prawie kościelnem, a następnie był we Francyi. Stąd wyjechawszy, przybył do Galicyi w r. 1876 i osiedlił się w dyecezyi *tarnowskiej*. Był jakiś czas w Niepołomicach i Zakliczynie wikaryuszem. W roku 1877 przeniósł się do dyecezyi krakowskiej i został kapelanem przy szpitalu w Krzeszowicach, które to obowiązki pełnił aż do śmierci.

Ś. p. ks. Paszkowski napisał kilka dziełek i rozpraw, a mianowicie: 1) *Katechizm o opiece nad zwierzętami.* 2) *Ogólny pogląd na sprawy polityczne społeczne.* 3) *Pociechy dla strapionych.* 4) *Kwestye społeczno-polityczne według prawa naturalnego objawionego międzynarodowego i kanonicznego.* 5) *O pokusach* wszechstronnie traktowanych według książki ks. dra Hense (str. 214, Kraków. 1890).

Ś. p. ks. Paszkowskiego nie znaliśmy ani jakim był w swojej dyecezyi, ani za granicą, ale mając go w Krzeszowicach przez lat kilkanaście, mogliśmy go aż nadto dobrze poznać. Był to kapłan wielkich cnót i skromności; pobożny,

*) Nie całkiem dokładnie to zdarzenie tu jest przytoczone. Autora pamięć trochę zawiodła. *P. R.*

uprzejmy i łagodny. Gorliwym też był nie tylko jako kapelan szpitala, ale jeszcze za życia ś. p. ks. K. Sciborowskiego, przed 3 laty zmarłego proboszcza w Krzeszowicach, z małym wyjątkiem prawie wszystkie najtrudniejsze obowiązki parafialne za niego bezinteresownie spełniał. Ale i w sąsiedzkich parafiach pomagał księżom w pracy duchownej, szczególniej w konfesyonale.

Powszechnie tak od Kleru jak i od osób świeckich wszystkich stanów był bardzo szanowany. Szczery też żal wszystkich osób towarzyszył mu w chorobie tygodniowej i po śmierci, i w dzień pogrzebu. Dwie sąsiedzkie parafie *Krzeszowice* i *Tenczynek* okryte były prawdziwą żałobą.

Pogrzeb odbył się w dniu 13 b. m. Zwłoki przeniesiono do kościoła parafialnego w Krzeszowicach, a następnie odprawiono żałobne nabożeństwo. Sumę żałobną odprawił ks. Krzemieński, prał dom. pap., a zarazem dziekan czernichowski, do którego to dekanatu należą Krzeszowice. Po sumie ks kan. dr. Smoczyński, proboszcz z Tenczynka, wygłosił piękną pochwałę nieboszczyka, rozbierając cztery główne cnoty jego: miłość Boga, miłość bliźnich, miłość ojczyzny i miłość Kościoła. Wartoby, aby ta piękna mowa była ogłoszona drukiem, iżby nie zaginął nakreślony obraz świątobliwego i pracowitego kapłana, jakim był ś. p. ks Paszkowski. W czasie mowy ani jednego nie było suchego oka, wszyscy płakali, lud wiejski, mieszczanie, panie i panowie. Ale bo też był bardzo miły, a przezacny kapłan, nieboszczyk; swem postępowaniem wszystkich ujął za serce. Po odspiewaniu konduktu wyruszył orszak pogrzebowy z kościoła krzeszowickiego do Tenczynka, w którym, pomimo bardzo mroźnego powietrza, wzięło udział 34 kapłanów i z półtora co najmniej tysiąca osób różnych stanów. pomiędzy którem był hr. Andrzej Potocki, teraźniejszy dziedzic hrabstwa Tenczyńskiego, wraz ze swoją dostojną matką hr. Katarzyną Adamową Potocką.

Od kościoła w Krzeszowicach do Tenczynka prowadził żałobny kondukt ks. Pajączewski, proboszcz z Zalesia. a od bramy cmentarza do grobu ks. kan. Teodor Rogoziński, Sybirak, a obecnie kapelan jednej z kaplic w kościele katedralnym na Wawelu, który też pobłogosławił zwłoki i posypał ostatnią garść ziemi na trumnę nieboszczyka.

Ś. p. ks. Paszkowski, żyjąc od dawna w ścisłych stosunkach z ks. Smoczyńskim, proboszczem w Tenczynku, który go także opatrzył śś. Sakramentami na drogę wieczności, życzył sobie, aby mógł spocząć na cmentarzu obok kościoła w Tenczynku. Tam go też wśród powszechnego smutku i płaczu w murowanym grobie złożono. *R. i. p.*

Nowe książki.

1) **Krótki katechizm rzymsko-katolicki** *ułożył X. biskup E. Likowski,* sufragan i administrator archidyecezyi poznańskiej. Cena 35 fen. Poznań 1891. str. 88.

Spieszę podzielić się z szan. Konfratrami serdeczną radością, że się nareszcie ukazał dobry krótki katechizm polski. Jestto owoc 20-letniego doświadczenia chlubnie znanego dostojnego autora cennego dzieła: *Dzieje Unii* biskupa E. L. Owoc przeszło dwuletniej rzetelnej pracy i narady z kilkudziesięcio doświadczonymi katechetami obydwóch archidyecezyj, którym autor przed oddaniem do druku litografowany projekt rozesłał, zasięgając ich opinij.

Biorąc pióro do ręki, nie zamierzyłem pisać krytyki, bo dzieło jest pod każdym względem *doskonałe,* lecz pozwalam sobie w mojem i innych imieniu wynurzyć najprz. J. ks. Biskupowi serdeczną podziękę za wyrządzoną nam przysługę, powinszować tak pomyślnego sukcesu, prosić Go. aby co rychlej przystąpił do drugiego wydania swego większego katechizmu i objawić życzenie, aby go najprz. księża Biskupi wszystkich polskich dyecezyj za swój przyjęli.

Co do *ustroju* jest osnuty na tle katechizmu Deharba, jednak to ma szczególnego, że w najtrudniejszych dla katechetów częściach zrywa z dotychczasową rutyną wszystkich katechizmów. Trzyma on środek między mniejszym a większym katechizmem ks. Morawskiego, ale pod wieln względami go przewyższa. Poprzedzają (jak w tamtym) modlitwy najpotrzebniejsze, z dodaniem sposobu odmawiania Różańca, czego pierwszy nie ma *Dalej* następuje katechizm *ogólny,* czyli wyliczenie najpotrzebniejszych prawd wiary, moralności, cnót, grzechów itp. Po nim idzie: katechizm *szczegółowy,* mieszczący w sobie: Wstęp I. r. o wierze, II o przykazaniach, III o łasce boskiej i środkach do nabycia łaski boskiej. W końcu dodana jest dla chłopców Ministrantura, czyli sposób służenia do Mszy św.

W ocenę szczegółów nie widzę potrzeby się wdawać. Aczkolwiek krótki, jest on jednak treściwy, bo zamyka w sobie zwięzłą i krótką, a zupełną naukę religii, jaką dziecko przystępujące do spowiedzi i komunii św., tych dwóch regulatorów życia moralnego, znać powinno. Wykład ma przystępny, jasny i praktyczny, czyli słowem: popularny; język czysty, styl jędrny, a zrozumiały; metodę pedagogiczną (dydaktyczną); w każdej odpowiedzi mieści się całe pytanie. Z niego dzieci łatwo się mogą uczyć, a katecheci łatwo nauczać, co jest z wielką korzyścią dla jednych i drugich. Na tych zaletach mógłbym poprzestać. Nie taję jednak, że wziąłem go pod ścisłą trutynę, a nic nie znalazłszy do zarzucenia, korzystając ze sposobności, dotknę tu dwóch dezyderatów moich, które podniosłem prywatnie, mianowicie na str. 47 co do słów ustanowienia Najśw. Sakramentu, trzymając się ściśle tłómaczenia X. Wujka, obstawałem przy tem, aby słowa: *Hic est sanguis meus* wyrażono słowy: *Ta jest krew moja*, a nie *To jest* itd. Dostojny autor przekonał mnie jednak, że odstępując od tłóm. Wujka i używając słów: *To jest krew moja,* ma racyą, a to z tych powodów: 1) Że tak stoi we wszystkich nowszych polskich katechizmach; 2) że do tego ludność nasza już przywykła; 3) że tłómaczenie X. Wujka nie oddaje dosyć dobitnie myśli Zbawiciela. Gdy bowiem mówię: *to jest krew moja*, powiadam przez to, że to, na co patrzę, albo na co wskazuję, choć nie koniecznie oczom jako krew się przedstawia, jest jednak rzeczywiście krwią — a właśnie to chciał P. Jezus wyrazić. Gdy zaś mówię: *ta jest krew moja,* to wskazuję na to, co się rzeczywiście jako krew przedstawia, a to nie odpowiada myśli Zbawiciela. Język nasz polski zdoła daleko dobitniej przez wyrażenie: *to jest krew moja,* oddać myśl Zbawiciela, aniżeli *łaciński,* który nie znosi tego, aby zaimek innego był rodzaju jak rzeczownik, do którego się odnosi. Toż i ks. Skarga w dziele o Sakramentach zawsze pisze: *To jest krew* itd., a tylko raz używa wyrażenia Wujka: *ta jest* itd. X. Wujek zachował w tłóm polskiem właściwość języka łacińskiego, nie koniecznie z korzyścią dla dogmatu". W obec tych argumentów schylam czoło, i zgadzam się na tę *stylizacyą.*

Drugie dezyderyum moje było: aby definicya „zadosyćuczynienia" ograniczała się tylko do pokutnych uczynków, przez spowiednika zadanych, a nie obejmowała powinności restytucyi bliźniemu. Najprz. autor powołuje się na bardzo gruntowny katechizm prymasa Komorowskiego 1757. Warszawa, z władzy pasterskiej do używania w archidyec. gniezn. podany, mający za sobą powagę i używanie 133 lat, w którym na str. 113 tak stoi: To zadosyćuczynienie jest *naprzód* pokuty od kapłana naznaczonej wypełnienie, na str. zaś 114: *Powtóre,* do tej trzeciej części pokuty, która jest zadosyćuczynienie, należy jeszcze zadosyćuczynienie bliźniemu itd."

Sądzę, że skoro najprz. X. Biskup L. w swoim katechizmie na str. 73 na czele położył ogólnikowe pytanie 122: *Co jest zadosyćuczynienie?* — Odpowiedź, mieszcząca w sobie tak pokutne przez spowiednika wyznaczone uczynki, jako też i restytucyą bliźniemu, *może pozostać bez zmiany.*

Można też pod nię podciągnąć jeszcze i nadane sobie dobrowolne uczynki pokutne, jako też i cierpliwie i pokornie znoszone utrapienia i smutki, któremi nas Pan Bóg nawiedza. Gdyby zaś dostojny autor był na czele położył pytanie w ten sposób sformułowane: *Co rozumiemy przez zadosyćuczynienie w Sakramencie Pokuty?* — Odpowiedz musiałaby się ograniczyć tylko na pokucie, nadanej przez kapłana na spowiedzi, bo tak mają katechizmy Deharba, Kanizyusza i wszystkie dogmatyki. W takim wypadku należałoby poniżej położyć dodatkowo pytanie: *Czy po spowiedzi i odprawionej pokucie, którą kapłan wyznaczył, jesteśmy jeszcze do czego obowiązani?* I tu dopiero jest miejsce dla obowiązku naprawienia danego zgorszenia — wynagrodzenia bliźniemu krzywd i szkód niesprawiedliwie wyrządzonych na *ciele*, *zdrowiu*, *majątku*, *sławie* lub na *czci* — chwycenia się środków przeciw powrotowi do grzechu i do poprawy życia służących. (Takie jest moje osobiste zdanie).

W końcu nadmieniam, że otrzymałem od najd. ks. Biskupa L. specyalne upoważnienie do zrobienia użytku z Jego prywatnej korespondencyi — a to dla powszechnego pożytku Wielebnego Kleru polskiego, w dyecezyach galicyjskich fungującego, któremu — ile sił starczy — i nadal służyć na tem polu pragnę.

Kraków dnia 15 grudnia 1890.

Ks. dr. Józef Krukowski.

2) **Kazania o Swiętych Patronach Polskich.** Część pierwsza. *Napisał ks. Józef Pelczar*, dr. ś. teol. prof. i kan. k. k. Kraków 1890.

Ta część pierwsza zawiera 4 kazania: 1) na 800-ą rocznicę męczeństwa św. Stanisława, Biskupa, 2) na 500 ą rocznicę urodzin ś. Jana Kantego, 3) na 400-a rocznicę śmierci ś. Kazimierza i 4) na dzień ś. Stanisława Kostki. Wszystkie odznaczają się logicznym rozkładem tematu, pięknym językiem i tą treścią, iście budującą, co to i za serce chwyta i inteligencyą zaspokaja, łącząc *utile cum dulci*. Spodziewamy się, że niestrudzony autor, umiejący jak rzadko kto z kapłanów popularyzować rzeczy wzniosłe, teologiczne, lub ascetyczne, czego dowodem i te 4 kazania, poda z koleji i dalsze kazania o Świętych Patronach Polski. Tymczasem polecamy tę część 1-ą gorąco wszystkim czcig. Współbraciom, a zwłaszcza młodszym, jako wzór kazań na cześć Świętych Pańskich. Zarazem przypominamy, że *Konferencye apologetyczne* tegoż p. t. autora, wyszły w II pomnożonem wydaniu.

3) Skarbnicy kaznodziejskiej, wydawanej przez księgarnię p. *Herdera*, w Fryburgu w Brysgowii pod tyt. **Bibliothek für Prediger** A. Scherera, tom V otrzymaliśmy poszyty 31. 32, 33, 34 i 35, zawierające przeobfity materyał do kazań i nauk, od uroczystości najs. Imienia Jezus zacząwszy, aż do uroczystości Zielonych Świątek. Dla kapłanów, obowiązanych do głoszenia Słowa Bożego, jestto istna *aurifodina*, na którą zwracamy jeden raz więcej uwagę czcig. Współbraci, a nie możemy zataić naszego życzenia, by znalazł się ktoś, lub lepiej kilku kapłanów, którzyby dokonali przekładu tej pracy na język ojczysty.

4) **Jaskółki.** Obrazek z historyi naturalnej skreślił *Mikołaj Rybowski* kierownik szkoły ludowej. W Krakowie 1890. (Odbitka z IV tomu „Opiekuna zwierząt“).

Autor tej broszury, znany z dawniejszych prac, z których wszystkie odznaczają się poczciwą tendencyą i są pisane barwnem, ale i dla prostaczka zrozumiałem piórem, zwrócił swą uwagę na jaskółki, te ulubione u nas ptaszyny. Z zamiłowaniem szczególnem matki przyrody, podpatrzył autor życie jaskółek, ich charakterystykę, podania ludu i wynik badań przyrodników, a okrasiwszy nadto opowiadanie swe najcelniejszemi głosami poetów, pożyteczną podaje tu lekturę każdemu miłośnikowi świata zwierzęcego.

Z duszpasterskiej praktyki.

Wojskowi a nabożeństwo kościelne. Nadesłany nam łaskawie w tym przedmiocie elaborat zamieszczamy w dosłownem brzmieniu:

W armii niemieckiej nowozaciągnięci żołnierze składają przysięgę wojskową publicznie i ze szczególniejszą uroczystością. Kiedy oswoją się już nieco z nowym swoim stanem, i poznają pierwsze i najgłówniejsze jego zasady, ustawieni w szeregi na publicznem miejscu, przed ołtarzem, na ten cel urządzonym, w obecności swoich duszpasterzów i najwyższych przełożonych z wojskową uroczystością przysięgają wierność w spełnianiu obowiązków swoich. Piękny to i naśladowania godny zwyczaj, oby i u nas mógł być zaprowadzonym! Każdy przyznać musi, że taka uroczysta przysięga nie przemija bez wielkiego wpływu; ona przypomina młodym żołnierzom niezwykłą ważność ich stanu, obowiązki z nim połączone i zachęca ich do sumiennego wypełniania tychże. Przy podobnej tegorocznej uroczystości w Berlinie z końcem przeszłego miesiąca był obecnym cesarz niemiecki i w przemowie swojej do młodych żołnierzy wskazał na wewnętrznego nieprzyjaciela państw, jakim jest socyalizm; podniósł wyraźnemi słowy, że tego nieprzyjaciela można pokonać tylko na gruncie chrześciaństwa, a wreszcie wyrzekł: „Nikt nie może być dobrym żołnierzem, kto zarazem nie jest dobrym chrześcianinem.“ Jeden z naszych dzienników wojskowych, który od pewnego czasu pisze o potrzebie religii przy wojsku tak otwarcie i dobitnie, że nasze tak zwane dzienniki katolickie nie odważyłyby się nawet powtórzyć podobnych artykułów, nie omieszkał korzystać ze sposobności i rozprawę pod tytułem: „Żołnierz i chrześcianin“ kończy słowami, które przytaczam w dosłownem tłumaczeniu: „Znaczenia pełne słowa, jakie wierny sprzymierzeniec naszego Monarchy, cesarz niemiecki, wyrzekł do młodych żołnierzy pułku gardy, wzniecają u nas żywy odgłos dla tego, że dotyczą przedmiotu, na który należy zwrócić większą uwagę i w naszej armii. Nigdy może tak bardzo jak dzisiaj, nie było prawdą, że dobry żołnierz musi być także dobrym chrześcianinem, to znaczy, człowiek, który w swojem niewzruszonem przekonaniu religijnem ma silną moralną podstawę, będzie umiał stawić opór wszelkim pokusom, gdyż nigdy tak bardzo, jak dzisiaj, nie uderzały szkodliwe wpływy na ten stan, który wśród potopu socyalnych zamieszek i wzruszeń musi pozostać silnym i niewzruszonym, jak skała.

Należy więc skonstatować, że jak wszędzie, tak samo i w stanie wojskowym, widać znaczny zwrot ku lepszemu na polu religijnem. Przekonano się, przynajmniej w kołach zimno myślących, że religia jest dla żołnierza koniecznie potrzebną; bez niej nie będzie umiał wypełniać wiernie przykrych i ciężkich obowiązków swoich; przekonano się, że bez religii żołnierz jest złym. Dla tego pragną, żądają nawet, aby w żołnierzach podtrzymywać i rozwijać ducha religijnego. Duchowieństwo więc z podwojonym zapałem powinno spełniać swój wzniosły obowiązek, zwłaszcza że teraz może nawet spodziewać się czynnego poparcia ze strony władz przełożonych W pierwszej linii spoczywa ten obowiązek na duchowieństwie wojskowem, którego zadanie jest dokładnie określone, a nawet ułatwione bardzo przez przepisy służbowe, a trzeba przyznać, że przepisy te mówią dobitnie i wzniośle o obowiązkach religijnych żołnierza.

Ale w naszym kraju są w tych czasach niezwykłe stosunki. Duchowieństwa wojskowego jest mało bardzo, bo tylko po większych miastach, gdy tymczasem prawie wszystkie miasta, miasteczka nawet i wioski niektóre przepełnione wojskiem. Czyż więc ci biedni żołnierze mają być pozbawieni opieki religijnej dla tego, że oddaleni są od centrum władz swoich najwyższych, że księża kapelani wojskowi ze względów służ-

bowych nie mogą jeździć po całym kraju, aby zaspakajać ich potrzeby duchowe? Duszpasterze lepiej o tem wiedzą, że biedny żołnierz, wyrwany ze swoich stosunków domowych, rzucony w wir nowego życia, połączonego z niezwykle trudnymi i przykrymi obowiązkami, przytem pełnego niebezpieczeństw, potrzebuje pociechy religijnej, wzmocnienia na duchu, a kto miał sposobność poznać z bliska jego życie, mógł się przekonać, że on pragnie tej pociechy, przyjmuje ją z chęcią i z wdzięcznością, którą nawet umie okazać na zewnątrz. W wielu miejscowościach duchowieństwo parafialne umie znaleść stósowną drogę, aby i tym owieczkom Chrystusa dać sposobność korzystania z nieocenionych skarbów Ofiary Mszy św. i Słowa Bożego. Jednak wiele również jest miejscowości, gdzie przez cały rok nie widać żołnierzy w kościele.

Przyczyną tego *nie* księża parafialni, którzy pragnęliby i te dusze przygarnąć i do Boga prowadzić; także i *nie* żołnierze, bo nieraz czują oni potrzebę uklęknąć przed ołtarzem Boga, poprosić Go o przebaczenie win, o siłę i wsparcie w potrzebie, lecz niestety nie było w rozkazie, więc nie mogą pójść do kościoła. Bo przy wojsku dla utrzymania porządku i karności wszystko na rozkazach polega. Tymczasem przełożeni nieraz wydaliby podobny rozkaz, zwłaszcza że przepisy służbowe dokładnie określają, ażeby żołnierzom dać sposobność wysłuchania nabożeńswa przynajmniej raz w miesiącu, ale może obawiają się, czy nie będą przeszkadzać i naruszać porządku nabożeństwa parafialnego. Otóż duszpasterz może tę obawę usunąć, a zarazem wpłynąć na wydanie owego rozkazu, nieraz z radością przez żołnierzy oczekiwanego. Wystarczy napisać urzędowo do miejscowej władzy wojskowej w kilku słowach, że w oznaczonym dniu o oznaczonej godzinie odbędzie się nabożeństwo dla miejscowej wojskowości i poprosić o stósowne zarządzenie, a z pewnością i odpowiedni rozkaz będzie wydany, i żołnierze uradowani pospieszą do kościoła, i parafianie przestaną gorszyć się i narzekać, że nie widzą nigdy wojska w domu bożym. W parafiach, gdzie jest więcej księży, nie robi to żadnej trudności odprawić raz w miesiącu nabożeństwo dla wojskowości, a gdzie inaczej nie można, to może być wspólne nabożeństwo, tylko w nauce zachęcić ich w krótkich, ale ciepłych słowach, aby cierpliwie, a dobrze i sumiennie wypełniali swoje obowiązki, pomni na to, że i przy wojsku służą Bogu. W ten sposób może duszpasterz przyczynić się do większej chwały Boga, zjednać sobie większą u Niego nagrodę, a przytem zaskarbi sobie i wdzięczność biednych żołnierzy. *Ks..*

Kronika.

Rzym. *(Promocye na uniw. gregoryańskim).* Według dawnego zwyczaju odbyło się w dniu 26 listopada b. r. uroczyste rozdanie nagród między akademików, uczęszczających na uniwersytet gregoryański. Uroczystość tę obchodzono w kościele św. Ignacego, ponieważ największa sala wykładowa wszystkich studentów i gości objąć nie mogła. Dyplomy i medale rozdzielał ks. kardynał Massela. Z kolegium polskiego otrzymał dyplom doktora św. teologii ks. Jul. Celiński. Dyplom licencyata św. teologii odebrali: ks. Maryan Baliński i ks. Józef Dworzak z dyec wrocławskiej. W oddziale prawa kanonicznego otrzymał dyplom doktora ks. Wincenty Biron; dyplom licencyata ks. Kazimierz Głowiński (z archid. poznańskiej). Doktorami filozofii zostali ksiądz Józef Mrugacz (z dyec. tarnowskiej) i ks. Józef Bolesławski. Księża: Mieczysław Pizar (z archid. lwowskiej ob. łac.), Stanisław Krzeszkiewicz (z poznańsk.ej) i Wincenty Iwo otrzymali dyplom licencyata filozofii; bakałarzami zaś zostali ks. Albert Borowski i ks. Karol Antoniewicz. Do medalu złotego miał prawo ks. Kazimierz Głowiński, a medal srebrny otrzymał ks. Mieczysław Pizar.

Ziemie polskie. *Ofiarność „czarnych“ a roboty postępowiczów* ujmująco zestawił w swoim czasie korespondent warszawskiego *Przeglądu katolickiego,* z nad Niecieczy“. W kilkomilowym promieniu w okół swej miejscowości znalazł w parafii J. kanonika M, który kilkunastotysięcznego spadku po swym bracie użył na wyrestaurowanie starożytnego kościoła; wyszukał w parafii B. kanonika J., który, poznawszy zakłopotanie okolicznych obywateli z powodu nakazanego r. 1864 sporządzenia tablic likwidacyjnych, oświadczył im: „macie się dawać obdzierać wyzyskiwaczom, mnie tę czynność powierzcie, a co mi dacie za pracę, oddam na kościół, który wiecie, jak jest w opłakanym stanie.“ Mimo 60 lat wieku siadywał po nocach i pisał, a zarobionemi kilkoma tysiącami rubli podnosił ozdobę domu Bożego. Zmarły nie dawno kanonik O. całe życie śledził za funduszami szkół parafialnych, szpitali i przytulisk, które w epoce rozgoszczenia się masoneryi w księstwie warszawskiem zagarnęła chciwość dziedziców i dzierżawców dóbr narodowych. W dobrach O. odebrał też kościół z rąk dzierżawcy żyda, który go za zgodą dziedzica katolika w postępową gorzelnię był zamienił. Ks. B. z parafii C. utrzymywał przez całe swe życie zawsze trzech zdolnych młodzieńców w szkołach, a umierając przekazał swą własność na krzewienie oświaty. Biedak suchotnik, wikary L. w O. ulitował się nad dziatwą ubogich rodziców, które pozostawione bez dozoru, kiedy ich żywiciele pracowali, narażone by.y na biedy fizyczne i moralne. Wyprosił u dziedzica obszerną salę w opustoszałej gorzelni i tam gromadził na cały dzień dzieciaki opiekując się przy pomocy najętej starszej kobiety niemi sam, dopokąd jego wytrwałość nie podziałała pobudzająco na miejscową inteligencyą. Los ochronki zapewniony. Taką samą zasadą przejęta emerytka Zenobia E. założyła w osadzie S. w własnym domu rodzaj szpitalu... a pobiera pensyi 270 rubli na rok!... Gdzieindziej pani N. namówiła swego męża, starozakonnego, że ofiarował 10.000 cegieł na kościół w sąsiedztwie. Milionerka p. K., protestantka, dała 100 r. na katolicki szpital w N. Natrafił jednak tenże korespondent i panią C., która na zaprosiny jego, by poszła do kościoła, odpowiedziała: „to się nie opłaca, darcie trzewików zostawmy głupim.“ Ma też i w pobliżu młodą i urodną panią P., dyrektorową fabryki w T., która na sesyi, gdy mężczyźni wnosili, aby zbudować dla robotników oddzielne noclegowe sale dla kobiet, oddzielne dla mężczyzn, zadecydowała: „toby zmnożyło niepotrzebnie koszta. Mój ojciec mówił, że sale nocne wspólne pomnażają liczbę tanich robotników, na tej taniości zarobił miliony?... Dla milionów zatem... popierać trzeba w imię postępu demoralizacyą!... Oto zasady pięknych emancypantek!

Francya. *Podróże uczą,* nauczyły też nowego ministra Constans'a, który wiele po Wschodzie podróżował, jak cenić należy zakonnice. Dekretu, wydanego za poprzedniego ministeryum przeciw Córkom ś. Wincentego, aby opuściły zakład ślepych Quinze-Vingt, nie pozwolił wykonać. Czy wytrwa tak dalej?... Czy zajmie takie stanowisko i względem innych familij duchownych?...

Belgia. *Minister zmieniał testamentarne zapisy, a adwokat bronił ich nienaruszalności.* Nie są to czynności dwóch osób, jakby ktoś mógł mniemać, ale tylko jednej i tej samej, lecz na różnych stanowiskach. Pan Bara, członek byłego ministeryum wolnomularskiego, unieważniał i zmieniał testamenta, zrobione na korzyść Kościoła, lub katolickich szkół; skreślał dowolnie liczbę mszy św., wyznaczonych zapisem fundatora, kapitały ich na inne cele przeznaczał.. Teraz zaś, kiedy już nie ministrem, adwokatując prywatnej stronie w testamentarnej sprawie, wypowiada n. p. takie zdania: „testator jest ustawodawcą; rozporządza, jak chce, w pełni swej wolności wykonywa święte prawo, nie potrzebując nikomu zdawać z tego rachunku... ani joty nie wolno nikomu w tem zmienić.“ Albo dwie są prawdy, albo ministrowie bezczelni!...

Dobry pasterz. *„Ami de l'Ordre“* przedstawia go w następującym rysie. — Przed 14ma dniami, pisał w swoim czasie ten dziennik, zmarł we Francyi w Villeuneuve sur Yonne, miejscowości, należącej do dyecezyi Sens, czcigodny kapłan Kune. Rodem Belgijczyk. Święcenia kapłańskie otrzymał w Namur i odtąd stale pracował w Pańskiej winnicy we Francyi. W roku 1870, w czasie prusko-francuskiej wojny, był proboszczem w Bleneau. W czasie przechodu jednej kolumny nieprzyjacielskiego wojska przez wioskę strzelił któryś z jej mieszkańców do pruskiego oficera. Komendant oddziału, gdy sprawcy wyśledzić nie można było, zażądał złożenia 20 tysięcy franków jako kary, grożąc w przeciwnym razie rozstrzelaniem 11 członków gminy, których jako zakładników ująć i okuć kazał. Nie zasobna gmina nie miała pieniędzy, jej skarbem był proboszcz. Ten też wstawia się do dowódzcy za swymi parafianami, błaga go o życie jedynastu ojców rodzin, nie winnych zbrodni, za którą ich dosięgnąć miało ramię sprawiedliwości. Daremne usiłowania, komendant słowa łaski dla skazańców wyrzec nie może, prawo wojenne twarde. Dobry kapłan odzywa się tedy doń drżącym głosem: „Dobrze, nieznany złoczyńca znieważył was, słusznie więc żądasz zadosyć uczynienia. Wolny jestem, nie mam żony ni dzieci, a krewni moi obejdą się bezemnie. Oto moja pierś, skieruj ku niej kule karabinów, byleś pozostawił jedynastu wieśniaków ich żonom, ich dzieciom, ich familiom. Moja śmierć nie osieroci nikogo, na moje miejsce przyszle biskup innego pasterza owieczkom.“ — Oniemiał pruski oficer, — zastępstwo przyjął. Samo zaofiarowanie zastępstwa tak wielkie było, iż starczyło za okup, iż skruszyło więzy zakładników, a dobrego pasterza pozostawiło nadal parafii. Prusak uścisnął z wruszeniem kapłana, a zakomenderowawszy do dalszego pochodu, ruszył, nie zabrawszy z wioski złamanego szeląga. Podobny wypadek, z tychże samych czasów, skreślił pięknie w swoich „Wspomnieniach z r. 1870“ p. Józef Rogosz. Nie mając ich pod ręką, nie możemy powiedzieć, czy jego „ksiądz Hiacent“ inną jest osobistością, niż Kune. Okoliczności jednak tu i tam nader podobne do siebie — niemal te same.

Klasztory żeńskie w Belgii. *Gęsto rozsiane klasztory* zniweczyła rewolucya przeszłowieczna. Od czasu odrodzenia kraju dźwigają się na nowo, tak że mały ten kraj ma obecnie około 1·300 zakonnych domów z 3.000 zakonników i 15.000 zakonnic. Rewolucya nie naruszyła tylko Instytutu św. Elżbiety tak zwanych Beginek w flamandzkiej Gandawie, który już przeszło 600 lat istnieje. Jestto ciekawy zakład. Kompleks jego 200 gotyckich budynków, otaczających wspaniały kościół, stanowi uderzający kontrast z całem otoczeniem przemysłowego miasta. Wśród miasta wznosi on się na niewielkiem wzgórzu, jakby odrębne miasteczko, które od wielkiego miasta oddzieliło się murem i bramami. Ma swe ulice, ogródki i skwery. Uroczą tę pustelnię zamieszkują wdowy i dziewice z różnych warstw społeczeństwa, które tu w cichości i spokoju szukają klasztornego życia, nie zrywając całkowicie ślubami ze światem, nie wyrzekając się majątku i niezawisłości. Noszą czarną suknię i biały welon. Przełożoną, nazywaną „wielką dziewicą“, wybierają z pośród siebie. Obecnie żyje wśród tych murów 900 takich zakonnic. W miarę majątkowego stanu i osobistych potrzeb mieszkają one albo pojedyńczo w osobnych domkach, prowadzą osobne gospodarstwo dla siebie o jednej służącej itd., lub też po 10 razem w większych domach, zwanych „klasztorami“. Domy i klasztory noszą nazwy Świętych. Dwa razy dziennie gromadzą się wszystkie ich mieszkanki na modły w kościele, resztę czasu poświęcają pracy i innym religijnym ćwiczeniom. Jedyny to zakład o takim klasztornym ustroju na całym świecie. Jego podobizny mają jeszcze niektóre sąsiednie miasteczka flamanckie.

Odezwa organistów. Otrzymaliśmy odezwę, wystosowaną do naszej Redakcyi przez kilku na niej podpisanych kościelnych, którzy, przyznając w niej z całą otwartością nader niski poziom oświecenia i uzdolnienia między ogółem swoich służbowych towarzyszy, upraszają nas, o ile wyrozumieć mogliśmy, abyśmy przedstawili czcig. Klerowi potrzebę utworzenia pod jego kierownictwem stowarzyszenia kościelnej służby i założyli dla nich odpowiednie pisemko, z któregoby wskazówki dla swego zawodu i naukę czerpać mogli. Wprawdzie — jak piszą, nie potrzeba ni do stoczka ni do szczotki od prochu wielkiej nauki, ale potrzeba jej do pobożności, skromności, trzeźwości, do przyzwoitego zachowania się w obec swych przełożonych, w obec wszystkich kapłanów i w obec wszystkich ludzi i pilnego a godnego wypełniania obowiązków służby kościelnej, które się nie kończą na powyższych dwóch czynnościach. Boli ich, że kiedy na zwykłą posadę stróża urzędowego lub do innego fachu nie przyjmą dziś bez nauki, bez egzamino i nie wprowadzą do obowiązków bez przysięgi, to jedna służba kościelna posiada mnóstwo indywidyów, które z dziada praa dziada dzierżąc ten urząd, nie znają ni litery, a mimo to w swej ograniczoności nie są bez wiadomych uroszczeń, nie są bez pretensyj.

Zgadzamy się w zupełności na te zapatrywania, podnosimy skromność inicyatorów, przyznających się do ciemnoty, ale nie widzimy, by tej zaradzić mógł ich związek, lub jakieś pisemko. Podobne związki ledwie że wegetują. Nam obok szkoły organistów potrzeba także szkoły dla służby kościelnej. Na razie jednak o wydawnictwie pisemka fachowego dla kościelnych nie można marzyć. Dobrzeby jednak było, gdyby ktoś z p. t. Współbraci wydał odpowiednią broszurę dla kościelnych, któraby zawierała i wyliczała wszystkie ich obowiązki, pouczała o nich i była zarazem instrukcyą, jak kościół, szaty kościelne utrzymywać w porządku, a chronić od wypadków i t. p.

Dyecezya przemyska.

Ks. M. Biały, prob. w Brzozowie, mianowany poddziekanim brzozowskim. — Ks. Karol Wolwowicz, wik. w Świlczy, otrzymał prezentę na probostwo w Rybotyczach. — *Zmarł* d 16 b. m. zaopatrzony śś. Sakramentami, ks. Wojciech Stankiewicz, prob. w Izdebkach, ur. 1808. ord. 1838, inst. 1847

Z zak. OO. Karmelitów. O. Fel. Kostański objął urząd przeora i administratora parafii w Rozdole, O. L. Drozdys przeniesiony z Rozdołu do Krakowa, a O. Alf. Gierczuszkiewicz z Rozdołu do Lwowa.

Słowo do czcig. Współbraci.

Niniejszym numerem zamykamy wydawnictwo: *Wiadomości katolickich* i *Boni Pastoris*, któreśmy prowadzili przez lat 12, jako moralną spuściznę po ś. p. ks. Ottonie Hołyńskim.

Wyznajemy szczerze, że spuścizna ta — przy wątłym stanie zdrowia, wymagającego corocznej kuracyi — była dla nas ciężkiem brzemieniem; lecz ponieważ nikt się na razie nie znalazł, ktoby ją wziął na swoje barki, musieliśmy po śmierci ks. Hołyńskiego stanąć na wyłomie, aby zacna i doniosła myśl jego nie zstąpiła z nim razem do grobu.

Z tytułu tedy 2-letniego współpracownictwa, objęliśmy opiekę nad osieroconemi pismami, a 12 lat zaszczytu redaktorstwa, to jest 12 lat trudów i zachodów wielce uciążliwych, są dostatecznym dowodem, żeśmy się nie sprzeniewierzyli ani przyjaźnej pamięci nieboszczyka, ani temu dziełu publicystyki kościelnej, pod które on pierwszy podwaliny założył.

Cośmy zaś na tej podwalinie budowali, czyli jak odpowiedzieliśmy naszemu zadaniu, nie do nas sąd o tem należy. Sumiennie wszakże powiedzieć możemy, że jeśli dla braku sił współdziałających nie wznieśliśmy gmachu o imponujących rozmiarach, toć przynajmniej skromna nasza budowa odznaczała się zawsze zdrowym materyałem: szczerą miłością dla sprawy Bożej, szacunkiem dla godności kapłaństwa, podnoszeniem wszystkiego, co w teoryi i praktyce duszpasterstwa mogło być użytecznem, a nareszcie tym duchem umiarkowania, który w naszem przekonaniu jest kardynalnym warunkiem każdego poważnego, a tem bardziej kościelnego organu.

W tym kierunku szliśmy przez cały czas naszej redaktorskiej działalności. Fantazya i namiętność nie inspirowały nigdy naszego pióra. To też zdaje się nam, że tej właśnie spokojnej, objektywnej dążności, temu umiarkowaniu zawdzięczać mamy ową łaskawą życzliwość, jaką czcig. Współbracia okazywali *Wiadomościom katolickim* i *Bono Pastori* — życzliwość tem cenniejszą, żeśmy w niej widzieli już maluczkie uznanie, już bratnią pobłażliwość dla naszej szczerej, acz dalekiej od doskonałości pracy.

Ta króciuchna notatka, jakby sprawozdanie w obec opinii publicznej, niech będzie ostatniem słowem ustępującej z widowni Redakcyi.

Od redaktora zaś raczą wszyscy p. t. czcig. Współbracia, Czytelnicy, przyjaciele i współpracownicy przyjąć serdeczne, gorące podziękowanie za moralne i materyalne poparcie, jakiego mu udzielali łaskawie przez wzgląd na ważność zadania. Szlachetne to poparcie zapisze się chlubnie w dziejach naszej publicystyki kościelnej — i kiedyś przyszły historyk tych dziejów powie z uznaniem: że jeśli dziennikarstwo katolickie w Galicyi przetrwało ciężką dolę ostatnich lat 20; **jeśli nie upadło niesławnie**, lecz owszem przeszło w fazę bujniejszego rozwoju, było to wyłącznem dziełem czcigodnego Kleru, wyłączną jego zasługą.

Ks. Edward Borawski.

☛ Wszystkich p. t. Konfratrów, zalegających dotąd z przedpłatą, lub z jakąkolwiek inną należytością, upraszamy uprzejmie o ich bezzwłoczne wyrównanie.

WŁAŚCICIEL: KS. EDWARD BORAWSKI. WYDAWCA I ZA REDAKCYĄ ODPOWIEDZIALNY: KS. ZYGMUNT GORAZDOWSKI.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem St. Baylego.

☛ **Do tego nru dołącza się Spisy rzeczy i prospekta.** ☚